

### „Tekstualia” – czym dla mnie były, czym są?

Żaneta Nalewajk  
(Uniwersytet Warszawski)

#### Czym są dla mnie „Tekstualia”?

Pamiętam, że kiedy pewnego śnieżnego dnia w lutym 2005 roku stanęliśmy z koleżanką ze studiów doktoranckich, Krzysztofą Krowirandą, przed Domem Kultury Śródmieście, to powiedziałam do niej: „Krzysiu, to jest chyba ten Dom Kultury, do którego tak trudno się dodzwonić. Chodź, wejdziemy, może ta instytucja będzie chciała wydawać nasze czasopismo”. Miałam wtedy pomysł na tytuł kwartalnika, od jakiegoś czasu nosiłam w torebce artykuł wstępny, bardzo dobrze wiedziałam, co i dlaczego chcę zrobić: stworzyć przestrzeń współlistnienia literatury, nauki i sztuki, przestrzeń spotkania, któremu dynamikę nadają ciekawość poznawcza i szacunek dla różnicy (indywidualnej, językowej, kulturowej, generacyjnej). Gdy weszliśmy do środka, ówczesny dyrektor odniósł się do projektu przychylnie i tak zaczęła się przygoda o nazwie „Tekstualia”. Żadna z nas nie pomyślała wtedy, że może ona trwać 20 lat i dłużej...

Do pewnego momentu, mniej więcej do numeru 60., znałam czasopismo na wrywki. Byłam w stanie o każdej porze dnia i nocy przyporządkować każdy tekst do jego autora, powiedzieć, w którym wydaniu i w jakim jego miejscu był publikowany. Mniej więcej po numerze 60. okazało się, że projekt mnie przerasta w sensie pamięciowym, że muszę zaglądać do spisów treści, sprawdzać kto, kiedy i co publikował. Gdy myślę o złożonych doświadczeniach: merytorycznych, interpersonalnych, organizacyjnych, które wiązały się z wieloletnim redagowaniem czasopisma, to dochodzę do wniosku, że ta przygoda była i jest wspaniała. Wielokrotnie bywała też trudna, ale wtedy zawsze tłumaczyłam sobie tego typu sytuacje tak, że jeżeli tworzy się projekt, to nawet w niesprzyjających okolicznościach trzeba podchodzić do niego z troską, trzeba o niego dbać.

„Tekstualia” od początku były dla mnie i są przestrzenią intelektualnej wolności, przestrzenią, w której czuję się niezależna. Choć w życiu zawodowym można wybrać różne wartości (pieniądze, władzę, wpływ społeczny, stabilizację), które oferują szybciej lub wolniej przemijające poczucie spełnienia, to tej konkretnej przestrzeni nie chciałabym zamienić na nic innego. Z wyboru znajduję czas na działania w niej, pomimo licznych obowiązków uniwersyteckich i troski o sprawy osobiste. Wychodzi więc chyba na to, że wśród pokus związanych z samorealizacją nie ma dla mnie większej niż myślenie.

Mam to szczęście, że zespół, z którym w tej chwili pracuję w „Tekstualiach”, to osoby, którym nie bałabym się powierzyć żadnej sprawy kultury. To ludzie, którzy są w stanie tę kulturę podtrzymać i nie boją się budować jej – jakby powiedział Staff – „od dymu z kominą”. Choć widzimy się rzadko, doświadczam z nimi w tej sferze głębokiej wspólnoty. Łączy nas też z pewnością etos pracy – taki, któremu niełatwo sprostać.

„Tekstualia” to także jeden z tych projektów, które nie funkcjonowałyby w ogóle, gdyby nie to, że właściwie w każdym momencie ktoś robi przy nim więcej, niż musi, robi to, bo tak chce. Dzięki temu jesteśmy, dzięki temu czasopismo wciąż się rozwija. Dzięki temu – pomimo tego, że na co dzień funkcjonujemy osobno – to jednocześnie tworzymy wspólnie bardzo gęste sploty sensu. Za to dziękuję. Dziękuję też za to, że w tym nienajlepszym z możliwych, choć pewnie też i nienajgorszym ze światów, redagując czasopismo, doświadczałam człowieka od jego najjaśniejszej, czytaj: twórczej strony.

## Czym są dla mnie „Tekstualia”?

Moja przygoda z „Tekstualiami” jest już w pełni dorosła. Jako doktorant równo 18 lat temu opublikowałem na łamach pisma tekst *Dandysa dziewiętnastowieczny tekst o ciele. Przyczynek do teorii cielesności dandysa*. Skoro więc i pismo, i moja publikacja osiągnęły już dosłowną dojrzałość, to może pora umierać... Wyjątkowo dobrze pamiętam (a to może rzadko się zdarza w historiach czasopism, których wysyp mieliśmy zwłaszcza na początku XXI wieku i wiele z nich pożyło zaledwie kilka lat), kiedy Redaktorka Naczelna Żaneta Nalewajk wraz ze swoją koleżanką Krzysztofą Krowirandą zaczynały formować intrygująco brzmiące „Tekstualia”. Jak wówczas opowiadały o piśmie na zebraniach czy spotkaniach doktorantów. Wymawiając głośno tę nazwę, czułem, że zbitka samogłosek sama niesie i wydobywa się z niej magiczny dźwięk niczym zaklęcie. Płynie, faluje, układa usta w ćwiczenie krasomówcze, żeby rozciągnąć mięśnie twarzy i powyginać językowy mięsień tak, aby chciał nieść wypowiedane słowa, zdania, frazy i nie zeszytnieć w szczęce. Tekstua... stua... a może szybciej wymawiane ‘stła’, gdzieś między stłamsić, stułą, statułą a opływowym i miękkim dla ucha humanisty *l’histoire*... Choć kiedy przychodziło do pisania, słownikowy korektor w komputerze z uporem maniaka domagał się siermiężnej i materialistycznie ukonkretnionej formy – ‘Tekstyli’a’.

Naprawdę pamiętam te początki, ten optymizm, tę radość, że powstaje nowe pismo, tę energię koleżanek :-). I tak się zdarzyło, że dzisiaj, w dniu tak pięknego (i aż niemożliwego do pomyślenia) jubileuszu, jakim jest dwudziestolecie „Tekstualiów”, mogę wrócić do tamtych początków. Przywołać z pamięci różne okoliczności towarzyszące. Co więcej, oglądać z perspektywy naszego naukowego i wydziałowego dojrzewania – Żanety jako Naczelnej (wówczas doktorantki w Zakładzie Literatury XX Wieku, piszącej doktorat o Schulzu i Gombrowiczu u Hanny Gosk) i mnie, ciut młodszego doktoranta Zakładu (wówczas jeszcze) Literatury Pozytywizmu i Młodej Polski (na początku mającego zamiar pisać o intertekstualnym Leśmianie u Ewy Paczoskiej) – jak rodziło się pismo. Widzieliśmy, jak szybko zmienia się, jak ewoluuje, jakie kręgi (łapczywie) zagarnia, kogo do siebie „przywabia”. I kto staje się wierny „Tekstualiom” (czasami aż po grób). Jak – mówiąc słynnym słuchowiskiem radiowym, *Rodziną Poszepczyńskich* – „nawarstwia się i spiętrza” ten duch i te nasze przeplatające się drogi spotkań. Pamiętam, jak na studiach doktoranckich, uczestnicząc razem z Żanetą w lektoracie francuskiego, gadaliśmy w zasadzie ciągle o tym, co się dzieje w tym rozpędzającym się piśmie.

To wielka radość móc o tych 20 latach myśleć, będąc z początku obserwatorem z ubocza, co jakiś czas publikującym tam swoje artykuły, a od 7 lat członkiem wspianego Zespołu, oglądającym pracę redakcji od środka. Poza moim artykułem o ciele

dandysowskim w 2007 roku (a więc w trzecim roku istnienia pisma) już w 2008 roku wyszły tutaj również moje *Szuflady bohaterów Orzeszkowej. Strategie wobec kultury: wycofanie, przemilczenie, ukrycie*, które zadedykowałem pamięci prababki, która czytała mi Orzeszkową i z którą miałem dziecięce wspólne szuflady sekretów. Potem w 2018 roku przyszedł czas na *Filologię niemożliwego. O tłumaczeniach poezji Leśmiana na język angielski i niemiecki*, a wreszcie pod koniec 2018 roku, a w zasadzie na początku 2019, na zaproszenie Żanety, dołączyłem do grona redakcyjnego i zacząłem współtworzyć pismo.

„Tekstualia” dla mnie to przede wszystkim wspaniali ludzie ze znakomitymi pomysłami, zapałem do pracy... i biografiami, które lepiej bądź gorzej człowiek poznaje. Biografiami, które meandrują dziwnie i pozwalają spotykać się na różnych ścieżkach w innych rolach. Marta Buława była niegdyś (2009/2010) moją wybitną studentką i to była wielka radość w 2019 roku spotkać się w redakcji pisma, kiedy do niej wszedłem, i móc budować nową nitkę zażyłości redakcyjnej. Marcina Czardybona poznałem właśnie w „Tekstualiach”, a Magdę Ukrainets (niegdyś Supeł, choć USOS już zmienił nazwisko) pamiętam również jako wspaniałą studentkę (2012/2013 oraz 2015). Takie przedziwne sploty dają dużo do myślenia, jak biegnie czas i jak meandrują nasze biografie. „Tekstualia” to również nieoceniona wymiana składu różnych numerów z Mirką Seremak, to dowcipne wizyty u Małgosi Bojko w finansach przy Smolnej, to spotkania na grochowskim szlaku z Sylwią Borowską i Jej życzliwym dostarczaniem przesyłek. Chylę czoła również przed naszymi wspaniałymi korektorami, Piotrem Olesińskim i Zosią Satkowską, a także tymi osobami, które wcześniej z nami współpracowały. Pani Zosi Satkowskiej (już Mielcarskiej) zwłaszcza dziękuję za wyłapanie na ostatniej prostej kilku kiksów, które byłyby jak plamka Medi z historyjki Jaworskiego – drażniące oko i głowę.

„Tekstualia” to również intelektualna przygoda i wyzwania. Czasopismo uczy mnie, że dzięki redagowaniu artykułów, które się czyta, poszerza się niepostrzeżenie humanistyczna wiedza o świecie, jak ich lektura z kwartału na kwartał wymusza uważność na odmienne sposoby czytania i badania. Aż człowiek nie może uwierzyć, że są pewne teksty, których wcześniej nie znał, i że mają taką nośność. To nie do przecenienia. Czyta się tu także różne autorskie prozy i poezje. Wiele z nich odrzucamy, bo nie spełniają naszych redakcyjnych oczekiwań. Ale znajdują się tu takie kawałki, które przywracają człowiekowi wiarę w moc (młodej, nowej?) literatury oraz nowatorskich form wyrażania i eksperymentowania w języku. Mamy tu sporo udanych debiutów, dobrych kawałków autorskich ze studiów podyplomowych *Szkoła Mistrzów. Studia technik pisarskich i prezentacji tekstu literackiego*, które też z Żanetą jako szefową prowadzimy na Wydziale Polonistyki. Cieszy to, że świetne teksty autorstwa naszych studentów podyplomowych – którzy stają się później grupą koleżeńską z kwartalnika, współtworzącą klimat i jakość poszczególnych numerów – mogą się na łamach pisma ukazać.

Tak pokrótce odtwarzam ten mój palimpsest narastających wspomnień, przywołań, a może i przywidzeń. Oddrapuję te różne sensory i robi się po prostu błogo, jak sobie pomysle, że warstwa po warstwie układa się to w całkiem piękny kawałek świata. Dziękuję za ten świat.

## „Tekstualia” – czym były/są dla mnie?

Przede wszystkim były szansą i wyzwaniem. Szansą na to, by ponad 12 lat temu, w arcyprzyspieszonym tempie, dźwigać się z otchłani własnej zieloności i niedookreśloności, przedzierzgając się nie tylko w redaktora poważnego periodyku naukowego, lecz także, po jakimś czasie, stopniowo – chyba tak należy sprawę ująć – badacza. Żadne studia nie nauczyły mnie bowiem więcej o warsztacie naukowym niż praca nad kolejnymi i kolejnymi wydaniami czasopisma.

Dlaczego „Tekstualia” były wyzwaniem? Tu niebezzasadna jest chyba krótka reminiscencja. Pierwszym artykułem, nad którym pracowałem wraz z innym początkującym redaktorem czasopisma, był hermetyczny, erudycyjny, ogromny (tak mi się wtedy, w Roku Pańskim 2013, wydawało) esej pewnego Luminarza Polskiej Humanistyki. Jego prace podziwiałem. Jego pozycja w świecie nauki – a przecież doń już nieśmiało aspirowałem – mnie onieśmiała. Przystąpiliśmy razem z kolegą pilnie, chociaż nie bez tremy, do dzieła. Wyprostowaliśmy Luminarzowi koślawe (według nas) zdania, anihilowaliśmy luminarzowe manieryzmy, wykarczowaliśmy kaprawą – dla nas... – interpunkcję, wyszlifowaliśmy wszystko, wszystko... Pod krwawą czerwienią korektorską oryginalny tekst nikał w sensie ścisłym. Słowem – z gorliwością redaktorskich neofitów doszczętnie niemal zniszczyliśmy pobłogostawione luminarzową Ręką dzieło, co też zostało rychło przez grono redakcyjne skonstatowane. Od zera później artykuł ten obrabiał na szczęście, klnąc zapewne pod nosem, nasz dużo bardziej doświadczony tekstualiowy kolega (dziękuję i wybac, Tomku).

Taki był początek. Ile tekstów jeszcze zepsułem, ile, choć w minimalnym stopniu, poprawiłem przez te moje 12 lat, ile zepsują jeszcze... – nie wiem. Wiem natomiast, że szansą i wyzwaniem „Tekstualia” dla mnie pozostają i dziś. Ponieważ każde kolejne wydanie czasopisma to osobna, różna od poprzednich przygoda. I za tę szansę, i za to wyzwanie, za te przygody i za te lata spędzone w redakcji – pragnę dziś gorąco podziękować. Mam nadzieję na więcej.

## „Tekstualia”? Nieprzewidywalna szkoła życia...

2013 rok, moja pierwsza wymiana maili przy pracy w Redakcji: zaczęło się od nieprzychylnego przyjęcia uwag przez autora, a zakończyło na wymianie wrażeń z jego pobytu u amiszów. O, taaak – historia niektórych „mailowych konwersacji” mogłaby posłużyć za zrzęb niejednego opowiadania epistolarnego. Niektóre z nich miałyby charakter detektywistyczny, inne charakteryzowałyby dramatyczny przebieg w ramach konwencji obyczajowej, a zdarzyłyby się i takie z nutką... thrillera.

Zresztą nagłych zwrotów akcji i zaskoczeń bywało więcej – zdarzało się, że redakcja przekładu wymagała sięgnięcia do oryginału, co czasem dosłownie wywracało znaczenie jakiegoś fragmentu do góry nogami. Nagle niemający zbytnio sensu „wysoko postawieni Niemcy” okazali się „językiem górnoniemieckim”, a „gałqź” – „odnogą rzeki”. Gdyby nie praca w „Tekstualiach” nie otarłabym się z pewnością o pracę tłumacza, co uważam za jedną z zabawniejszych przygód intelektualnych mojego życia.

Było to też moje pierwsze zetknięcie się z byciem członkiem zespołu, a także, w pewnym sensie, z zarządzaniem nim – w charakterze sekretarki<sup>1</sup> Redakcji – jako młoda edukatorka muzealna, przewodniczka i nauczycielka obcokrajowców szlifowałam zdecydowanie pracę solową. I choć przez lata zespół „Tekstualiów” się zmieniał, muszę przyznać, że zawsze panowała w nim dobra atmosfera, mimo napięć, które naturalnie występują, zwłaszcza wtedy, kiedy są problemy z konkretnymi publikacjami. Dziwaczny – głównie mailowy lub mailowo-telefoniczny – charakter redakcyjnych kontaktów skłaniał mnie kilkakrotnie do zabawnej konstatacji, że czasami czuję się całkiem blisko z ludźmi, których być może nie poznałabym na ulicy.

Skrzyżowanie kwestii merytorycznych – zawsze chce się, by publikacje były jak najlepsze – z personalnymi – często w mniejszym lub większym stopniu zna się autorów nadsyłanych tekstów – prowadziło niejednokrotnie do sytuacji, w których trzeba było potwierdzić lub zmodyfikować swój system wartości. Zresztą i tu bywało zabawnie: jednego razu założyłam fikcyjne konto mailowe, stworzyłam pseudonim i nadesłałam do „Tekstualiów” własne opowiadanie. Przechylnie czytało się później obiektywne – o co przecież zadbałam – opinie kolegów z redakcji o własnym tekście.

O czym jeszcze nie wspomniałam? O nabraniu szacunku do idiolektów autorów, radości z obserwowania, jak inni redaktorzy i redaktorki zmagają się z trudnymi momentami tej pracy (*Schadenfreude* w czystej postaci), szansie na wcielenie się w dziennikarkę

<sup>1</sup> Wreszcie mam odwagę użyć feminatywu. A miałam z tym problem, bo „sekretarka” kojarzyła mi się głównie z parzeniem kawy (a tego akurat nigdy w „Tekstualiach” nie robiłam). To smutne, że „sekretarz” wciąż brzmi zupełnie inaczej, jakby godniej. Jednak już zdecydowanie czas na zmiany w języku. Ostatnio pojawiła się w redakcji propozycja, by była to „sekretarzynie”.

przy numerze dotyczącym reportażu i wielu, wielu innych momentach. Te 12 lat współpracy z „Tekstualiami” to jednak całkiem sporo...

Skąd się jednak wzięły „Tekstualia”? I nie, nie mówię tu o wspaniałej historii, którą mogą znacznie lepiej opowiedzieć inni, przede wszystkim Redaktor Naczelna – profesor Żaneta Nalewajk-Turecka, o której zdarzyło mi się – w czasach, gdy nie wiedziałam, co to umowa o pracę i nie uznawałam żadnego zwierzchnictwa – pomyśleć, że to moja najlepsza „szefowa”, czy Krzysztofa Krowiranda, której nie dane było mi poznać. Historii, w której role swe odegrali ucząca nas, redakcyjnych żółtodziobów, redakcyjnej sumienności i wnikliwości doktor Agnieszka Wnuk czy wnoszący w wewnątrzredakcyjną korespondencję iskierkę luzu doktor Tomasz Mackiewicz. Mówię o tym, skąd się wziął u mnie ten impuls, by zaraz po jednym z wykładów podskoczyć do katedry w Starym BUW-ie (ta cudna sala na planie greckiego teatru!) i nieśmiało wydukać w kierunku urzekającej mnie połączeniem rozległej wiedzy z jakąś taką życiową praktycznością wykładowczyni, że widziałam ogłoszenia, że szukają stażystów, i ja... „bym się zgłosiła”.

Co nas czekało? Artykuł, niczym istny tor przeszkód, najeżony błędami, zwłaszcza w nazwiskach znanych badaczy. Już przy drugiej stronie pojęłam, że ktoś tu nas sprawdza... Właśnie! Nas, czyli oprócz mnie jeszcze Łukasza Żurka, Katarzynę Górzyńską-Herbich, Karolinę Gendek i będącego do dziś w redakcyjnym gronie Marcina Czardybona. To właśnie z nimi (a także ze wspomnianymi już w poprzednim akapicie redaktorami) połączyła mnie ta bliska, choć głównie mailowa<sup>2</sup>, więź. Nie obywało się oczywiście bez nieuniknionych drobnych zgrzytów – i tu szczególnie mocno pamiętam Łukasza Żurka, zapewne dlatego, że mimo nich odbyliśmy szczerą i dobrą rozmowę na temat jego dróg rozwoju, gdy postanowił opuścić Redakcję. Rozmowę, którą byłam zaszczycona. A z Marcinem Czardybonem (ach, ten niepodrabialny „barokowy” styl językowy jego artykułów!) już od dawna, mimo niezbyt częstych rozmów, przyjęliśmy strategię szczerości – wobec wydarzeń ze świata „Tekstualistów” i innych uniwersów (to połączenie patrzenia na rzeczywistość poprzez literaturę i politykę oraz... jakaś taka bijąca wręcz wewnętrzna przyzwoitość), co... ułatwia przetrwanie w kryzysach.

Później do naszej Redakcji dołączyli: świetnie zorganizowana, bardzo leśmianowska (i w życiu badawczym, i autorskim) Magda Ukrainets, znana mi nie tylko z kontaktów redakcyjnych, lecz także wspólnych rozmów telefonicznych i spacerów, oraz dziś już profesor Dawid Osiński. „Dziś już”, bo poznaliśmy się dawno temu na zajęciach z Historii Literatury Pozytywizmu i Młodej Polski. Jeden z tych cudownych prowadzących (ach, ta bijąca życzliwość!), którzy swoją postawą, zaangażowaniem i wnikliwością sprawiali, że chciałam w literaturę i badania nad nią wchodzić głębiej i głębiej. Nie poprzestawać, bo zawsze da się spojrzeć uważniej lub po prostu inaczej.

I tak doszłam, baaardzo okrężną drogą, do odpowiedzi, dlaczego tamta Marta podskoczyła po wykładzie profesor Żanety Nalewajk (jeszcze wtedy niepodwójnego nazwiska) do katedry. „Palimpsesty Literackie Artystyczne Naukowe” – ten podtytuł „Tekstu-

---

<sup>2</sup> Był niegdyś w Redakcji taki zwyczaj, by ze dwa razy do roku spotykać się w kawiarni przy Nowym Świecie.

aliów” zawiera wszak większość moich pasji. A czytanie i redagowanie tekstów pozwalają pogłębiać (ach, choćby ta translatołogia i Leśmian!) i odkrywać (bo czyż mogłam przeczuwać, nie sięgając daleko, że oddam się kiedyś lekturze tekstu o wpływie romantycznej wizji argentyńskiej Pampy na tożsamość narodową?).

**Magdalena Ukrainets**  
**(Uniwersytet Warszawski)**

## **„Tekstualia” były dla mnie szkołą życia, organizacji i literatury**

Jakieś piętnaście lat temu, jeszcze na studiach licencjackich przypadkiem trafiłam na jedno z wydań pisma i pamiętam, jak pomyślałam wtedy, że moim marzeniem byłoby kiedyś opublikować tam własny tekst. Minęło trochę czasu i nagle Redaktor Naczelna zapytała, czy chciałabym zostać sekretarzem redakcji. Ogarnęła mnie wtedy panika – byłam przekonana, że organizowanie pracy innym to ostatnia rzecz, za którą potrafiłabym zabrać się odpowiedzialnie. „Tekstualia” jednak wymagały ode mnie wzrastania. Uczyły dobrej organizacji, budowania systemów, zarządzania czasem i zadaniami. Nadal uczą uważnego czytania, pokory wobec materii naukowej i artystycznej, pozwalają zetknąć się z całą gamą tematów i korespondować z autorami, pasjonatami w swoich dziedzinach. Dzięki temu wszystkiemu stałam się osobą, którą dziś jestem – i znalazłam się w miejscu, w którym mogę łączyć pasję do literatury z pracą redakcyjną we wspaniałym zespole, za co jestem wdzięczna. A to przecież dopiero siedem lat. Co przyniosą kolejne?